

Ziemiaństwo bojanowskie – jego kult polskości i zacięcie społecznikowskie

Zamiast wstępu

...zupełnie inaczej wyobrażałem sobie swój powrót do historii. Gdy po raz ostatni przekraczałem uniwersyteckie mury, myślałem, że mój rozbrat z historią będzie jak ten rozrachunek z życiem, że stanie się ostatnim etapem mego naukowego pielgrzymowania. Ciągnęło mnie bowiem do życia, do jego niekończących się wyborów, do podróży i poezji, do ustawicznego dziania się. Zresztą z marzeniami już tak jest, że wcale się nie kończą, lecz przeciwnie ciągle i ciągle zaczynają, nie dając w zamian ani chwili czystego spełnienia. Po kilku niespokojnych latach przypomniał mi się mój wyuczony zawód, a przypomniał trochę tak, jakbym już zmęczył się doświadczeniem, jakbym zapragnął poprowadzenia za rękę, po kolei, po stopniach, po stopniach wtajemniczenia, do celu...

O pamiętniku

...z pokoju do pokoju, z ręki, do ręki, i niżej wprost na moje kolana, w byle, jakiej okładce, na pożółkłym papierze, na którym ledwie odznaczały się litery pospiesznie wybite dzięki leciwej maszynie. W podkreśleniu, w pierwszej strofie



Wanda Bojanowska

przeczytałem: „Historia naszej rodziny” pióra Wandy Bojanowskiej i zaraz też pomyślałem: „czyżbym szczęśliwym trafem posiadał autentyczny przekaz historyczny?”. Rzecz jasna z marszu wziętem się do kartkowania maszynopisu, choć dopiero w domu w mniej nerwowej atmosferze chłonałem pierwsze słowa jak gąbka. Im szybciej zgłębiałem lekturę, tym mocniej czułem, że bije z niej czystość intencji i jakaś trudna do uchwycenia nadludzka prostota. Ogarniało mnie poczucie, że autorka żyje tym, co pisze, że zwraca się do współczesnych, ale i do tych, co już odeszli, niejako nakładając na wszystkich aureolę swej wszechobecności. Co by nie powiedzieć o tym pierwszym razie, coraz bardziej i bardziej cieszyło mnie nadużywanie zdrobnień, później też cedzenie słów wielkich, ale dopiero ironia nad słowami z pospolitego kruszca obudziła we mnie prawdziwy zachwyt. W międzyczasie śmiałem się z anegdot, które na myśl przywoływały mi pewne sekwencje filmowe, które zatrzymane w kadrze, tak samo chwytają za serce, nie oszczędzając głosu.

Z drugiej strony, wiedziałem, że mam do czynienia z autorką, którą ukształtował taki właśnie sposób mówienia, której z takim *savoir vivre* było po prostu do twarzy. Poniewczasie mogłem wypomnieć autorce tylko jedną, drobną przypadłość. A mianowicie stronniczość w podejściu do czytelnika. W wymiarze ostatecznym opowieść wydawała mi się testamentem, pismem skierowanym tylko ku najbliższemu, ku rodzinie: „Poczują to kiedyś ci z naszej rodziny, co dziś są młodzi albo bardzo młodzi – dzieci. Z myślą o nich piszę ten pamiętnik, tę historię rodu. Dla własnej potrzeby i dla nich, nie wiem, co więcej. To się okaże, kiedy w przyszłości siostrzeńcy po moich kuzynkach i kuzynach ustosunkują się do mego pisanie.”¹

Podsumowując, trzeba jeszcze wspomnieć, o wyjątkowej szczerości, żeby nie powiedzieć wylewności w doborze faktów, składających się na całość przekazu. W takim właśnie duchu Wanda stawiała tezy, pisząc o osobach, które nie zapisały się w rodzinie złotymi zgłoskami, zwłaszcza o Henryku Bojanowskim, którego temperament często prowadził po zaułkach ludzkiej egzystencji. Skądinąd pamiętnik nie stronił też od zwykłego, prostego bajania. O tej wymowie czytelnik dowiaduje się prawie, co rusz, a to w opisie dworu klicowskiego, opisie drobiazgowym, który nadać może tylko wprawna kobieca ręka, w opisach przyrody, budzącej i dziś trwożny respekt, w obyczajach i życiu codziennym, tak dostojnych oraz powolnych jak bieg meandrującej rzeki, także w przygotowaniach i zabawach świątecznych, które spinały mijające pory roku, aż po opisy prac, co wypełniały życie, co świadczyły o trwałości i niezłomności ludzkiej natury...

¹ W. Bojanowska-Oleńska, *Historia naszej rodziny*, red. M. M. Mysiakowski, Warszawa 2009, s. 9.

Ziemiaństwo bojanowskie



Stanisław Bojanowski

...natury skłonnej do kultywowania praktyk swych przodków, w rytuale oddającej cześć swej polskości, tej polskości, na którą zasługiwało się miarą swego społecznikowskiego zaangażowania. Krok po kroku pamiętnik rozwija historię rodziny Bojanowskich, prastarego rodu, herbu Junosza. W kolejnych odsłonach opowiada o postaciach, poczynając od protoplastów, a skończywszy na współczesnych, z którymi Wanda, jako dziecko przedstawiała, tudzież o których wiedziała tyle, co wniosła w jej życie wieść podawana z ojca na syna.

W sposób szczególny górowały nad tymi postaciami osoby: ojca Stanisława Bojanowskiego (†1959) i matki, Neli z Różańskich Bojanowskiej (†1987), ale i dziadkowie: Michał Ignacy (†1932) oraz Ignacy Bojanowscy (†1956), wokół których gromadziła się cała „trzódka”. O nich wszystkich mówiła Wanda, że wywarli ogromny wpływ na jej duchowość, na sposób postrzegania świata i liczenia się z potrzebami bliźnich.

W relacji ojciec – córka Stanisław Bojanowski jawił się jako mąż surowy, przejęty do żywego zasadami dobrego wychowania, wychowania niemalże purytańskiego, który więcej od córki wymagał niż dawał, więcej oczekiwał niż rozumiał, ale zawsze jakoś sprawiedliwie, jakoś po ludzku. W skrajnym przypadku wyglądało to tak, że ostro i bez pardonu wypowiadał się o rozwodzie i nowych planach małżeńskich brata Jana (†1971), ale gdy przyszło, co do czego, w czasie ucieczki na wschód przed Niemcami, latem 1939 roku, pojednał się z nim, słusznie mniemając, że nadchodzą na wszystkich jeszcze sroższe czasy. I rzeczywiście wojna wycisnęła na nim swoje piętno, jakby spokorniał, jakby „zapadł się” w sobie, jakby jeszcze bardziej „szedł w głąb”².

W wymiarze społecznym o Stanisławie, jako o nieodrodnym synu Michała, mawiało się w domu, że „wciąż gdzieś jeździł”³. Aktywność ta sięgała

² W. Bojanowska-Oleńska, *Historia naszej rodziny* ..., s. 126.

³ Ibidem, s. 122.

korzeniami do czasów zniewolenia, do myśli pozytywistycznej, do myśli, że tylko własnymi siłami, jesteśmy w stanie podźwignąć się na wyższy stopień rozwoju. Nie inaczej, tylko rzucając na szalę własne „ja” możemy mówić o naszym „my”. Z tego ducha właśnie wyrosło społecznikostwo Stanisława, dojrzałość mająca na względzie dobro wspólne, a nie tylko partykularne interesy.

Nic zatem dziwnego, że wszędzie go było pełno, w pracy posła – w komisji rolnej i handlu zagranicznego w Sejmie III Kadencji, w Związku Ziemian, w Okręgowym Towarzystwie Rolniczym w Ciechanowie, w Izbie Rolniczej w Warszawie. W swej diecezji płockiej, prezesował Akcji Katolickiej, przewodniczył rekolekcjom wielkopostnym ziemian w Krasnem, organizował pod własnym dachem spotkania i pogadanki o charakterze moralizatorskim, a w obecności biskupa płockiego Wetmańskiego i kanonika Kaczmarka, omawiał m. in. tematykę korporacjonizmu katolickiego, udziału świeckich

w życiu Kościoła, dekadencję postaw chrześcijańskich w Polsce.

Ponadto w powiecie ciechanowskim, a zwłaszcza poza nim, ciągle zakładał nowe kółka rolnicze, w których „zarażał” swą bogatą i rozległą wiedzą, nie ustając w pasji nauczania, nie dając za wygraną małoduszny przepisom krępującym wolność zrzeszania się. Nadto działalność polityczna w lokalnym Stronnictwie Narodowym, z Janem Korneckim (†1967), wszechpolakiem z Mławy, ich wspólne i nieustanne próby przekładania na język czynu myśli nowoczesnego Polaka.

O Neli, Anieli z Rózańskich Bojanowskiej, Wanda opowiadała: „Mama w Jarlutach – to Mama wracająca z ogrodu, z dłońmi szarymi od ziemi, zgrzana, z rozrzuconymi włosami, zmęczona i szczęśliwa”⁴. Do takiego obrazu matki, autorka na przestrzeni



Nela Bojanowska

⁴ Ibidem, s. 132.

swego pamiętnika, zdążyła i mnie przyzwyczaić. O małżeństwie ze Stanisławem Bojanowskim Wanda pisała: „...idealnie zgrane, kochające się i takie, jak określiła je po latach Ciocia Lazarowa: W małżeństwach bywa tak, że zwykle jedno góruje nad drugim, a drugie musi się dostosować, poddawać, u Stachów tego nie ma, jest całkowicie równowaga. Jeszcze później określano taki związek partnerskim, ale to określenie nie wystarcza. W małżeństwie Rodziców były wszystkie odcienie uczuć i wszystkie najpiękniejsze – miłość, zachwyt, wierność, szacunek, oddanie i głębokie porozumienie, radość obcowania i współpraca, poczucie szczęścia niezależne od okoliczności zewnętrznych.”⁵.

Z wizerunku tego wyłania się matka o nietuzinkowych walorach moralnych i etycznych, matka w pełni świadoma swych praw, ale i celów, przede wszystkim kobieta rozumna, w czynie roztropna, na której zawsze można polegać, która ciepłem przykryje każdą zniewagę, w sukces zamieni zwykłą porażkę. Słowem – kobieta o niepospolitej wrażliwości i niebotycznej cierpliwości. Kim była? Skąd jej ród? Ojciec – Marian, inżynier komunikacji, z Petersburga, budowniczy kolei transsyberyjskiej, matka – Maria Ostaszewska, ziemianka, z majątku Wojśławice w Radomskim. Można zatem powiedzieć, że pochodzenie miała znakomite. Takie samo odebrała i wychowanie, w licznych skupiskach polskich w rozległym Imperium Rosyjskim. Z dala od ojczyzny, długo ją musiała nosić w sercu, zanim miłość swą przelała na córkę.

W odrodzonej ojczyźnie, uciekając przed nawałą bolszewicką, znalazła schronienie w Warszawie, a goszcząc u kuzynów w Targoniach, trafiła wprost pod strzechę jarluckiego dworu. Podobnie jak Stanisław, Nela udzielała się społecznie, w środowisku kobiet wiejskich. Tak jak natura ciągnie wilka do lasu, tak Nelę pociągała praca społeczna, proste pomaganie, ciche służenie, a za wszystkim tym stała zwykła potrzeba dookreślenia się w otaczającym ją świecie. W Kole Gospodyń Wiejskich, promowała zebrania, dość często odbywające się w jarluckim dworze, będąc u siebie zarazem prelegentką jak i mistrzynią pokazów. Na cyklicznych spotkaniach omawiała hodowlę drobiu, trzody chlewnej, serowarstwo, uprawę ogórków, racjonalne odżywianie się. Po pogadankach zazwyczaj następował podwieczorek, po nim zaś panie rozchodziły się do swych domostw, niosąc świeże, kwietne bukiety, jakby tego było mało, przeszczepiając na swój grunt idee ogródków. W Kole Kobiet Katolickich, Nela przysposabiała kobiety do zawodów, mających swoje zastosowanie w szerokim świecie. Propagowała także oświatę zdrowotną i zdrowy styl życia.

⁵ Ibidem, s. 119.



Michał Bojanowski

Dziadkowie. Michał Ignacy Bojanowski – ikona rodu, mąż o niepospolitej tężyznie, także umysłowej, człowiek nad wyraz światły i wielce opanowany, o nieposzlakowanej, patriotycznej przeszłości, ostoja i autorytet, do którego częstokroć należało ostatnie zdanie. W poglądach konserwatywny, w obejściu dostojny, z natury jowialny. W młodości buntownik, relegowany z uczelni za nieprzejeźdną postawę w czasie strajków studenckich, ale i reformator społeczny, zakładający postępowe gospodarstwo rolne na zasadach spółdzielczych, gdzie praca rąk własnych przekładała się na zyski akcjonariuszy. Jak pisał naoczny świadek we wrogocińskim dworze: „Lekcje odbywały się w dużym salonie [...]. Używano do nauki legalnych wydawnictw, poza tym jednak odbywało się równoległe uświadamianie narodowe, gdzie już rzeczy nazywano po imieniu. Przychodzące do dworu dzieci chowały skrzętnie swoje książki i kajety pod ubraniem. [...] W przeciągu roku nie było już analfabetów. Stosunek do służby był również nadzwyczajny. Niestalym robotnikom płacono to samo zimą, co i latem, argumentując, że jednak trzeba żywić się latem jak i zimą. Prawo popytu i podaży na rynku pracy nie miało tu zastosowania. Gospodarze wrogocińscy, chcąc dać wyraz swego zaufania do ludności, nie używali zupełnie zamków. Cały ich dobytek był stale otwarty. [...] Również i wydajność pracy nie pozostawiała niczego do życzenia, mimo że nie stosowano specjalnego nadzoru.”⁶

Za tę działalność, jak i za zbyt nowatorskie, żeby nie powiedzieć rewolucyjne myślenie Michał zapłacił karą więzienia, którą odbył w pietropawłowskiej twierdzy. Po powrocie, ustatkował się, ale nadal prowadził tajną robotę oświatową. W czasie rewolucyjnego wrzenia, w 1905 roku musiał uciekać za granicę, w obawie przed złowróżbnymi represjami strony carskiej. W odrodzonym państwie polskim, u boku elity politycznej zasiadał jako poseł, potem senator w Sejmie Ustawodawczym I Kadencji. W jego pracach dał się poznać jako gorący zwolennik protekcjonizmu państwowego

Za tę działalność, jak i za zbyt nowatorskie, żeby nie powiedzieć rewolucyjne myślenie Michał zapłacił karą więzienia, którą odbył w pietropawłowskiej twierdzy. Po powrocie, ustatkował się, ale nadal prowadził tajną robotę oświatową. W czasie rewolucyjnego wrzenia, w 1905 roku musiał uciekać za granicę, w obawie przed złowróżbnymi represjami strony carskiej. W odrodzonym państwie polskim, u boku elity politycznej zasiadał jako poseł, potem senator w Sejmie Ustawodawczym I Kadencji. W jego pracach dał się poznać jako gorący zwolennik protekcjonizmu państwowego

⁶ Ignacy Mościcki. *Prezydent RP, Autobiografia*, Warszawa 1993, s. 36.

w obrocie płodami rolnymi, jako przeciwnik reformy rolnej w uchwalonym kształcie i jako umiarkowany konserwatysta w godzeniu interesów narodowych i społecznych.

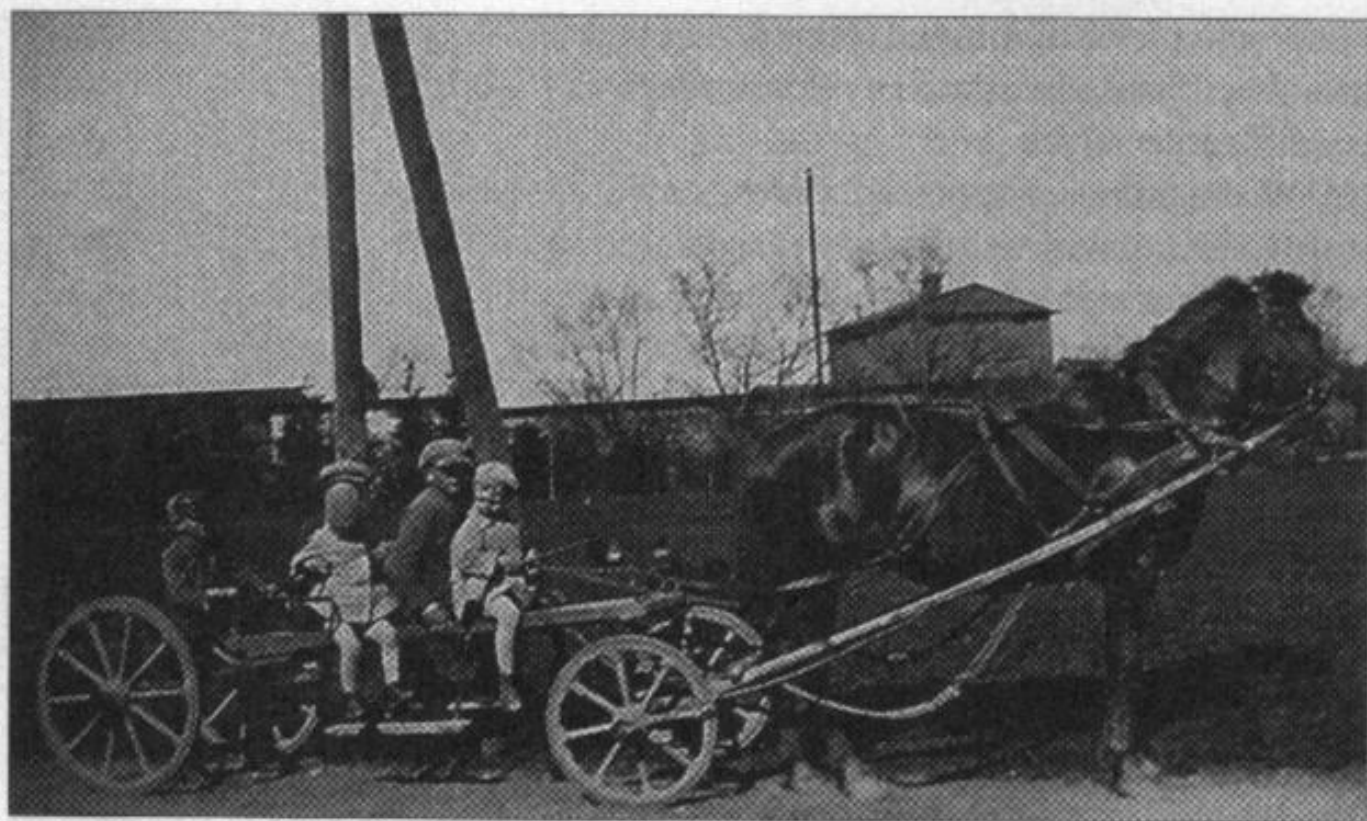
W działalności społecznej nie ustawał do samego końca, jego zainteresowanie rozwojem lokalnej przedsiębiorczości było wręcz legendarne, od przedsięwzięć na skalę mikro, po rozwiązania strukturalne, napędzające gospodarkę regionu. Z jednej strony potrafił zakładać Ochotniczą Straż Pożarną w Klicach, czy kreować politykę takich podmiotów bankowych jak Towarzystwo Wzajemnego Kredytu lub Kasa Pożyczkowo-Oszczędnościowa w Ciechanowie, z drugiej wpływać na prosperitę w obrocie płodami rolnymi za pośrednictwem Centralnego i Okręgowego Towarzystwa Rolniczego, tudzież Syndykatu Rolniczego S.A. Tego typu dokonania można by było obdarzyć niejednym życiorys, ale co stanowiło o sile Michała, co powodowało, że ludzie go słuchali, że do niego lgnęli? Na takie pytanie Wanda w ulubiony przez siebie sposób odnajdywała w pamięci celną anegdotę: „Opowiadała mi moja Mama, że kiedyś do Klic przyszedł żebrak. Dziadek wyszedł do niego, szukał po kieszeniach, nie miał akurat pieniędzy, ale spojrzawszy na obszarpaną kapotę człowieka – ściągnął z siebie kurtkę i oddał mu ją mruczając coś pod nosem”⁷. Wydaje się, że ta bliskość odczuwania potrzeb drugiego człowieka napędzała autorytet, jakim cieszył się Michał w „narodzie”.

Podobnie rzecz się miała i z młodszym bratem Michała – Ignacym z Gruduska. W młodości umysł ścisły, o obiecujących zdolnościach matematycznych, które niedane było mu rozwijać, z uwagi na szkody moralne, jakie



Ignacy Bojanowski z wnukiem Michałem Mierzyńskim

⁷ W. Bojanowska-Oleńska, *Historia naszej rodziny* ..., s. 43.



Przed dworem w Grudusku

według ojca mógł ponieść adept petersburskiej macierzy. Za to nauki pobierał w Lipsku, a studia rolnicze na tamtejszym uniwersytecie zakończył z wyróżnieniem, z taką wiedzą, którą szybko przekuł na czyny. W Grudusku, nabytym drogą kupna, zaczął od uzdrawiania nienawistnych stosunków społecznych. Lichwa, bowiem panoszyła się tu na potęgę, do tego stopnia, że po wypłatę za pracę w majątku przychodzili wyłącznie Żydzi z obligami⁸ zadłużonych po uszy fornali.

Wymówiwszy mieszkania w budynkach dworskich ludności żydowskiej, począł aktywizować miejscowe środowiska chłopskie. W pierwszym rzędzie założył ochronkę dla dzieci pracujących rodziców, zachęcając w nowe podwoje cukierkami, kokardkami i innymi miłymi drobiazgami. W dziele tym dzielnie wspomagała go żona, „dziedziczka”, na której skupiała się złość zniechęconej gawiedzi. To za nią unosiły się salwy śmiechu, za nią latały drobne kamienie. Z upływem czasu zaufanie jednak przybierało na sile, rosło wprost proporcjonalnie do korzyści, jakie przynosiła mieszkańcom pomysłowość dziedzica. W rzeczy samej powstała nowa mleczarnia, produkująca masło na eksport, nowy sklep kolonialny, na prawach spółdzielczych, spółka melioracyjna, drenująca „ciężkie” pola chłopskie. Ignacy inspirował, ale w praktyce obsadzał, niejako zmuszał do działania, do współpracy. Na stanowiska kierownicze wysuwał prostych chłopów i z zadowoleniem spoglądał na nich, na świeżo

⁸ Oblig – pisemne zobowiązanie się do spłaty długu.



Zjazd rodzinny – na ganku klicowskim

nabytą zaradność. Sam trzymał się z daleka, jakby czekając, co przyniesie następny dzień, pewnie też uśmiechając się do siebie pod nietęgim wąsem.

W końcu stosunki społeczne wraz z poprawą dobrobytu zaczęły się znacznie poprawiać, rosło zaufanie, kwitła gościnność, i demokratyczne odnoszenie się do siebie. We dworze przy stole zasiadali chłopci, po parku i ogrodzie swobodnie chodziły wiejskie oraz fornańskie dzieci. Można powiedzieć, że dziedzic zdobył sobie zaufanie, zaczął cieszyć się autorytetem, takim poważaniem, które pomogło mu poczuć się pewniej, na tyle zresztą pewnie, że kiedy: „przyjechał do Gruduska agitator związkowy, by buntować ludzi przeciw „dziedzicowi” – Dziadek Ignacy, spotkawszy go – zaprosił na śniadanie, do siebie, zmartwiony, że pewnie zmarzył, posadził w salonie, żeby sobie gazetę poczytał, a potem powiedział: proszę bardzo, jak pan chce, to proszę iść do ludzi, robić swoje”⁹.

W szerszym tego słowa znaczeniu Ignacy był nieszablonowy, nie lubił ani doktrynerstwa ani partyjniactwa, zawsze chadzał własnymi drogami, a opinie serwował na deser, mając na myśli dobro słuchacza. Przekonał się o tym pewien człowiek, barwnie przedstawiony w anegdocie rodzinnej:

⁹ Ibidem, s.71.

„Kiedyś przyjechał [do Gruduska – przyp. aut.] agitator komunista. Było rano, spotkał w drodze człowieka skromnie ubranego, co jechał wózkiem. Ten zaprosił go na wózek, zaczęli rozmawiać. Agitator czasu nie tracił: „no, widzicie, ledwo świt, a wy się tu męczycie, już jedziecie do roboty, a tam dziedzic się w puchach przewraca, śniadanie mu dadzą do łóżka, dobrze mu się dzieje!”. Tamten pokiwał głową, przytaknął. Agitator zapalał się coraz bardziej i bardziej, a wreszcie na odchodne zapytał: „Jak się nazywacie, może was kiedy odwiedzę?”. Wtedy też człowiek z wózka odpowiedział: „Proszę bardzo, niech mnie pan odwiedzi, mieszkam we dworze, nazywam się Bojanowski”¹⁰.

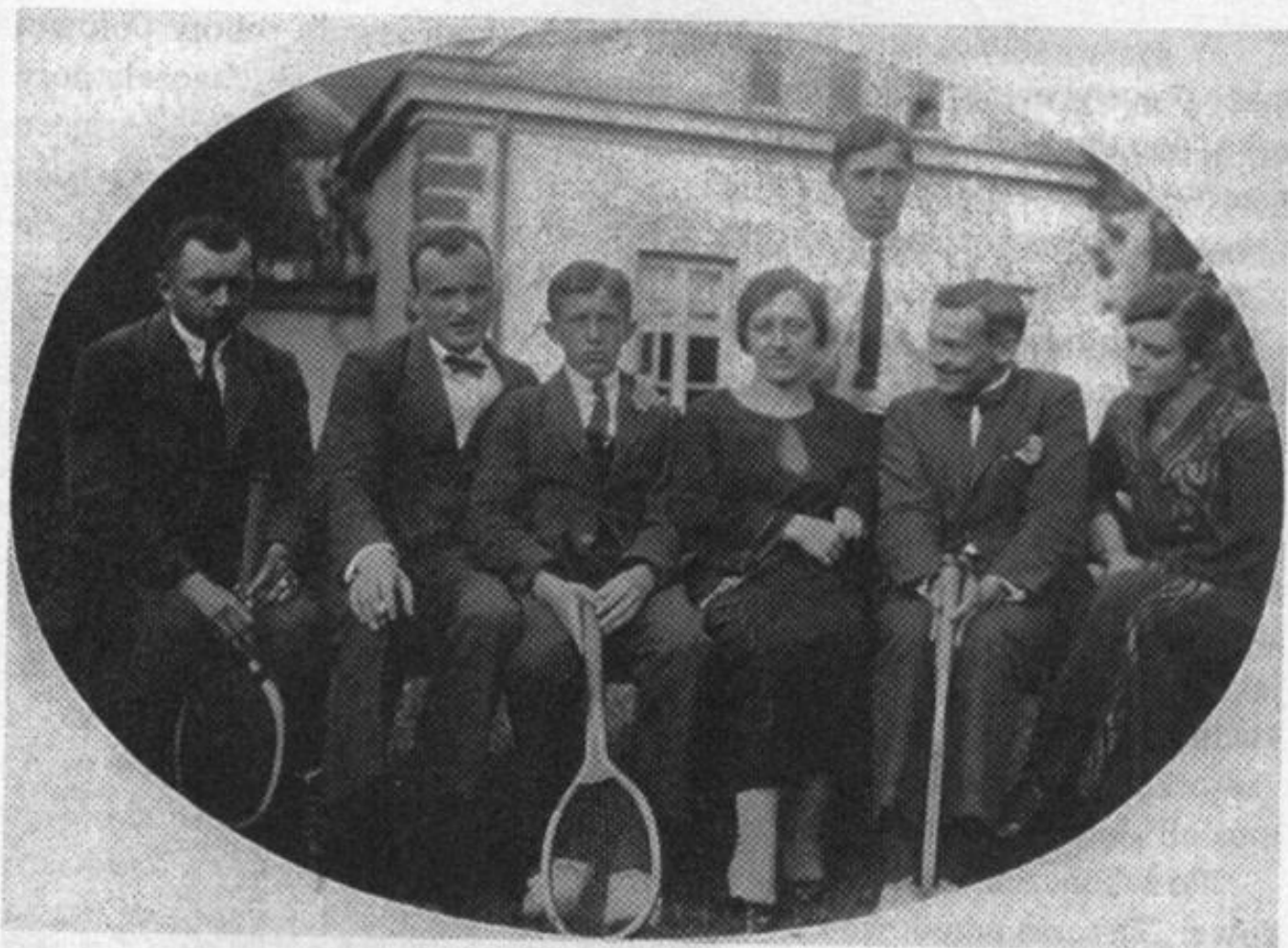
Kultywując swe przywiązanie do polskości Bojanowscy przejawiali ją także podczas Świąt i uroczystości rodzinnych. W niezmienny sposób, od lat przygotowując frykasy na stoły świąteczne, w Boże Narodzenie królowały „polskie bakalie”, czyli śliwki nadziewane, gruszki w cukrze, wiśnie nadziewane na słomki, jabłka, w Wielkanoc – mazurki, w tym kajmakowe i „topielce”, czyli cienkie ciasto posypane migdałami i rodzynkami. Przy stole głośno politykowano, po cichu plotkowano o życiu niecodziennym, panowie zaś „siewali–orali”, potrafiąc klócić się do upadłego. W przerwie między posiłkami i po nich grywano w polską odmianę palanta, czasem w tenis ziemny, także i w brydża. W Wielkanoc dominował dyngus, do tego stopnia, że woda potrafiła płynąć schodami z pokoi gościnnych aż na dół do pokoju jadalnego.

W obrazie życia polskiego ziemianina nie mogło zabraknąć sezonowych polowań na lisy i zające. W przeciwieństwie do wielkopańskich łowów, polowano zdecydowanie dla łupów i z mniejszą fanfaronadą. Po kanonadzie liczono zdobycze, ogłaszano króla i jechano na ciepły bigos i karcianą „wziątkę”. W dworze klicowskim nie było prawie dnia, żeby polityka nie zaglądała pod strzechę. Często gośćmi bywali posłowie i senatorowie, sama elita prawej strony sceny politycznej, z Romanem Dmowskim na czele. W jeszcze bardziej kurtuazyjny sposób przyjmowano prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, prywatnie kuzyna Michała Bojanowskiego – Ignacego Mościckiego (†1946). Trzeba pamiętać, że prezydent, wychowywał się w dworze klicowskim, także tu ukrywał się po zamachu na gubernatora Hurko¹¹, więc wizyta miała charakter gospodarski, choć nie obyło się bez drobnych zgrzytów politycznych¹².

¹⁰ Ibidem.

¹¹ Josif Władimirowicz Romejko – Hurko (Gurko) – generał–gubernator warszawski (1883–1894), dowódca Warszawskiego Okręgu Wojskowego, zaciekle zwolennik rusyfikacji.

¹² Bracia cioteczni należeli do przeciwnych i zwalczających się obozów politycznych.



Przed klicowskim dworem

W patriotycznym nastroju odbywały się również doroczne zjazdy rodzinne linii klicowskiej, gruduskiej, bądkowskiej i humięcińskiej¹³. W ten dzień modlono się w kościele, potem na grobie pradziadków: Paulina (†1899) i Julii ze Świętochowskich (†1879) opowiadano sobie patriotyczne i umoralniające historie, wreszcie biesiadowano w pobliskich Klicach, rzadziej w Grudusku. Spotkanie kończyło się na wielkim trawniku przed gankiem klicowskim grą w palanta, gdzie zasapanych panów starszego pokolenia chętnie zastępowało młodsze, także i żwawsze. Nad wszystkimi tymi wydarzeniami jakby unosił się duch zbiorowego sumienia, duch pozytywnych wartości, do których klucz dzierżyła w spracowanych dłoniach Babcia Jadwiga z Rudowskich (†1946). Według niej hierarchicznie „na górze była miłość ojczyzny, potem – obowiązki społeczne, a na końcu – wymaganie od siebie więcej niż od drugih.”¹⁴. A, zatem czy nie prawdę mówiono, wypowiadając się o czymś rozumie, że „jest prawie tak mądry jak sama pani Bojanowska z Klic!”¹⁵?

¹³ Trzeba pamiętać, że Bojanowscy jako rodzina byli drugą siłą, po Krasieńskich w powiecie ciechanowskim pod względem ilości użytków rolnych mierzonych w ha, wg wykazu nieruchomości dekretowych na dzień 30.I.1946 r., patrz: Archiwum Państwowe m. st. Warszawy, 509/II Wojewódzki Urząd Ziemski w Warszawie. 1944–1947, sygn. 890, str. 29–30.

¹⁴ W. Bojanowska-Oleńska, *Historia naszej rodziny* ..., s. 29.

¹⁵ Ibidem.

W życiu codziennym jarluckiego dworu dominowały roboty polowe, także prace w obejściu i na ogródku. Naturalnie rytm życia wyznaczały pory roku, dopiero później dzwonki i gongi wzywające do pracy lub ogłaszające przerwę. Na dźwięki te zbierała się i rozchodziła służba dworska, także rządca i ekonom, którzy rozdzielali zajęcia. Z uwagi na fakt, że gospodarka nadal była samowystarczalna, prosta i naturalna, o plonach i zyskach wciąż decydowała siła mięśni ludzi czy koni. W prostym rozumieniu słowa „żywność”, „jedzenie” oznaczały życie, więc wysokość plonów częstokroć stawała się oczkiem w głowie zapobiegliwego gospodarza. Do zaklinania tej rzeczywistości służyły dwa, niezmiennie od lat obrzędy gospodarskie: „wiązane” i „wieńcowe”, oba doskonale wpisywały się w kalendarz polskiej obyczajowości. Z początkiem żniw, w dzień Matki Boskiej, najczęściej w sobotę, należało iść na pole i dać się „związać”. W ten dzień, przed dojrzałym łanem, stawała przodownica, która jako pierwsza zbierała za kosą falujące zboże i „wiązała”, czyli symbolicznie kładła pod nogi widzom przygarść świeżo ściętego żyta. W odpowiedzi na takie zaproszenie dziedzic, rządca, zazwyczaj jednak dziedziczka, ale i „panienka” musieli się wykupić od pracy sownicie podarowanymi pieniędzmi.

Po zakończeniu żniw, zwykle we wrześniu, odbywało się uroczyste wieńcowe: „Ta sama przodownica w towarzystwie dwóch innych dziewczyn, a za nimi cały tłum służby wkraczał wieczorem na dziedziniec. Na ganek wychodziliśmy wszyscy, Tatuś na przedzie. Dziewczyny śpiewały: „Plon niesiemy, plon, dla naszego państwa w dom! Żeby ta pszeniczka dobrze plonowała! Żeby po sto korcy z morga wydawała! Plon niesiemy, plon!”. Cały pochód zatrzymywał się przed gankiem i rozpoczynały się przyśpiewki. Kierowane do państwa były na ogół przypochlebne: „A poprzód dworem to róża stojała, A nasza dziedziczka jest bardzo wspaniała!”. Czasem krotochwilnie: „A po pokoju toczy się jabłuszko, A pod naszym państwem zerwało się łóżko!”. „Nasza Wandziuchna” też była uszanowana porównaniem do obrazka lub innym komplementem. Większe złośliwości zaczynały się do rządcy, do ekonomy, a były to na ogół piosenki w rodzaju: „A nasz pan rzundca to jest niebojący. Bo on na polu to szczy stojący”. Na koniec przodownica podchodziła do Rodziców i wręczała wieniec upleciony w formie złączonej w górze korony z czterech rodzajów zboża oraz kwiatów, po które zresztą przychodziły dziewczyny wcześniej do ogrodu. Wtedy Tatuś dziękował za wieniec, ludziom za robotę i wręczał jakąś odpowiednią sumę na urządzenie okrężnego, czyli zabawy, która odbywała się po jakimś czasie i była organizowana przez samą służbę, bez udziału „państwa”¹⁶...

¹⁶ W. Bojanowska-Oleńska, *Historia naszej rodziny* ..., s. 139–140.



Dwór klicowski – stan obecny

Pro Memoriam

...bo „państwa” już dawno tu nie ma, ale zabawa nad trumną trwa nadal w najlepsze. Nad zwisającymi stropami, w połamanych schodach okalających podrapane do żywego gipsowe ściany, w walającym się rumowisku, przegniłego drewna i tępych kamieni, wciąż unosi się duch, duch co tańczy nam chodzonego, i nie ustaje, czekając aż w końcu skończy się w Polsce komunizm...



Dwór klicowski – stan obecny